

— Jakże mogę nie zezwolić? Henryk Morton jest przecież panem swej woli.

— Trzeba w jakiś dyskretny sposób przeszkodzić jego występowi medyumicznemu. Gdyby to trwało dłużej, jako lekarz nie ręczyłbym za nic...

Przyjaciele rozstali się.

ROZDZIAŁ III.

Henryk Morton krótko bawił na zgromadzeniu wyborczym. Przybył tutaj z zamiarem przedstawienia swojej kandydatury, a gdy przewodniczący zebrania zapytał go, czy jednomyślnie prawie zatwierdzoną kandydaturę przyjmuje, odrzekł krótko i stanowczo:

— Nie!

Zdumienie było niewypowiedziane, nalegano, aby Morton zmienił decyzję, ale on odpowiadał tylko:

— Nie!... nie mogę!

Pewien mglisty, a jednak wyraźny obraz w jego mózgu czynił jego postanowienie niezłomnym.

Od szeregu dni Henryk Morton widział przed sobą twarz Roberta Macmorrisa, jak gdyby narysowaną błękitnym ołówkiem w powietrzu. Twarz ta prześladowała go na jawie i we śnie, nie opuszczała ani na chwilę, co go niesłychanie denerwowało i niekiedy czyniło niezdolnym do jakiegokolwiek pracy.

Czyż w takim stanie nerwów mógł przyjąć odpowiedzialne obywatelskie stanowisko? Podziękował za okazane mu zaufanie i kandydaturę odrzucił.

Po opuszczeniu gmachu, w którym odbywało się zgromadzenie stronnictwa liberalnego Morton udał się prosto przed teatr, mając nadzieję, że uda mu się jeszcze zobaczyć Alicję.

Trafili właśnie na chwilę, kiedy publiczność zaczynała opuszczać teatr. Przystanął za filarem, aby oczekiwać na pojawienie się Alicji. Nie chciał, aby go widział ktoś ze znajomych. Zbyt dużo osób wiedziało o jego miłości dla pięknej artystki, o jego marzeniach i nadziejach, które rozwały się w nicłość, bo w życiu Alicji Belmonte wszedł inny mężczyzna — zwycięski rywal!

Zjawia twarz Roberta stała się wyraźniejsza, intensywniejsza... Ręce Henryka zacisnęły się... wargi mu drgały...

Jakby przez mgłę zobaczył niedaleko siebie swego Lokaja Johna, rozmawiającego z pokojówką Alicji Belmonte. Kilka oderwanych frazów z ich rozmowy dobiegło do jego uszu. Młodzi mówili o swej przyszłości, Kaity wspominała o swoim małżeństwie, jakie dostała od Macmorrisa, o jego majątku, a John dał wyraz swej zazdrości w stosunku do bogatszych.

Morton zrozumiał uczucia swego służącego. Ach! pieniądzel... te przekłete pieniądzel... one to widocznie wywarły swój fatalny wpływ na czystą duszę Alicji!.. Wszak dawniej sympatyzowała otwarcie z nim, z Henrykiem Mortonem!

I trzebaż jego własnej głupoty!.. Morton przygryzł wargę dolną tak silnie, że poczuł słodkawy smak krwi...

Przecież to on sam przedstawił Alicji — Roberta Macmorrisa, swego przyjaciela i kolegę ze szkolnej ławy... Chciał się pochwalić przed przyjacielem swoim szczęściem, a tymczasem zdradliwy przyjaciel zaprzęgnął tego szczęścia dla siebie!.. Wprawdzie Alicja jeszcze ani słowem nie potwierdziła, że kocha Macmorrisa, jeszcze ani razu nie oświadczyła Mortonowi, że jego miłość staje się dla niej uciążliwą, ale z każdym dniem stosunek jej do Mortona stawał się chłodniejszym, sztywniejszym, a natomiast znajomość z Macmorrisem coraz więcej się zacieśniała.

Nagle zjawia twarz Roberta ustąpiła miejsca rzeczywistości. To żywy, realny, z krwi i kości Macmorris szedł obok Alicji Belmonte.

Morton skulił się za filarem, aby go przypadkiem nie dostrzegli...

Domyślił się, że Alicja zdążyła do hotelu „Splendid”, gdzie ma deklamować, a Robert odprowadza ją, może nawet będzie jej towarzyszył.

— I ja tam pójdę!.. — postanowił.

Koncert połączony z wenta na korzyść szpitala dla dzieci zgromadził w salach hotelu „Splendid” najwytworniejsze towarzystwo. W pięknie przystrojonych kioskach — młode eleganki, urodziwe damy sprzedawały wina, szam-

pana, owoce, kwiaty, papierosy, karotując swoje ofiary bez miłosierdzia.

W głębi sali znajdowała się mała scenka, na której przesuwali się recytatorzy, monologisci, śpiewacy, muzycy, tancerze... Oczekiwano na Alicję Belmonte, która przyrzekła swój udział w koncercie... Ale wbrew zwyczajowi swemu — odznaczała się zawsze ogromną punktualnością — artystka spóźniała się jakoś... Publiczność nie zdradzała wszakże zniecierpliwienia — ponieważ uwagę powszechną zwracał na siebie Haired-din-bey, który popisował się swoimi hipnotycznymi zdolnościami.

Twarz tego pseudo — Araba, przybranego w barwny strój orientalny zajaśniała zadowoleniem, kiedy zobaczył wchodzącego do sali Henryka Mortona.

— Drogi panie! — zawołał — jak to dobrze, że pan przyszedł!.. Nie odmówi pan przecież przysługi!.. Proszę mnie o eksperyment, a wśród zebranego tutaj towarzystwa nie dostrzegam żadnego odpowiedniego medyum. Pan jest najlepszym medyum, jakie sobie wymarzyć można. Czy nie zechce mi pan poświęcić kilkunastu minut?

Morton w pierwszej chwili uczuł się niemiłe dośknięty.

— Jakto? jabym miał tutaj wobec tego całego towarzystwa...

Haired-din-bey wpatrywał się w niego przenikliwie swoimi czarnymi jak węgiel oczyma.

— Pan mi przecież nie odmówi?

Morton nie mógł się oprzeć dziwnemu wpływowi, jaki ten człowiek na niego wywierał.

— Więc zgoda? — nalegał hipnotyzer.

— Dobrze... — szepnął Morton.

Haired-din-bey wprowadził Mortona na estradę i usadowił go na krześle. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się hipnotyzer swym przenikliwym wzrokiem w medyum, wodząc jednocześnie palcami po jego czole, skroniach, twarzy.

Oczy Mortona zmieniały wyraz. Znieruchomiały, osłupiały, niby oczy trupa. Medyum odetchnęło głęboko, przycisnęło rękę do serca i głowa jego opadła na pierś niby we śnie.

Stracił świadomość tego, co się wokół niego dzieje.

— Rozbudzę w tym panu uczucie zazdrości — rzekł Haired-din-bey i państwo zobaczcie sami, jak wielką jest siła sugestyi.

— Panie, kocha pan kobietę... — zaczął.

Morton podniósł głowę. Po jego twarzy rozlała się fala jakiegoś ekstatycznego zachwycenia.

— Podejrzewa ją pan, że przekłada innego nad pana...

Rysy medyum ściągnęły się konwulsyjnym skurczem. Ręce zacisnęły się.

— Widzi pan swego szczęśliwego rywala obok ukochanej... Co pan uczyni?

Jakiś gardłowy, nieartykułowany dźwięk wydobył się z gardła Mortona. Cała twarz drgała wściekłym gniewem. Ciało wyprężyło się jak do skoku.

Przez salę szedł szept:

— Dusi go...

— Co za wściekłość...

— Bez wątpienia — zabiłby go...

Donośny głos hipnotyzera zapanował znowu nad tym gwarem:

— Omylił się pan. Podejrzanie było nieuzasadnione. Ten człowiek nie jest pańskim rywalem. Proszę go puścić.

Medyum uspokoiło się momentalnie. Morton opadł znowu na krzesło, oddychając ciężko.

— Nadzwyczajne!.. — podziwiano.

W tej chwili Haired-din-bey zapuścił aksamitną pluszową kurtynkę, aby za tą zasłoną przywołać zahipnotyzowanego do rzeczywistości.

W tej chwili powstał szmer:

— Belmonte przyjechała!..

Artystka usprawiedliwiła się krótko z powodu swego opóźnienia.

— Jaka piękna!..

— Tylko bardzo blada dzisiaj!

— Właśnie z tą bladą jeszcze jej pięknie, a oczy jej błyszczą dziwnie...

Istotnie oczy Alicji Belmonte płonęły niezwykłym ogniem... Żrenice zdawały się nieco, rozszerzone, a powieki chwilami drgały nerwowo...

ROZDZIAŁ VI.

Tajemnicza zbrodnia.

O świcie dopiero opuszczało wesołe towarzystwo hotel „Splendid”. Panie poutulane w płaszcze i szale zamieniały żartobliwe uwagi z pa-

nami, prezentującymi w świetle brzasku swoje cylindry.

Tylko Alicja Belmonte, która szła w towarzystwie hrabiny Covenshire i profesora Strafforda — była zadumana i milcząca.

— Czy jedziemy?

— Ależ poco? — protestowały panie — tak przyjemnie teraz!.. możemy się przejść!.. to tak dobrze robi!..

Nagle na zakęcie ulicy gromadka, do której należała również Alicja Belmonte, zmuszona była zatrzymać się. Zastąpił jej drogę tłum ludzi ciśnących się jeden przez drugiego i żywo gestykulujących. Tłum ten zdawał się czemś być mocno wzburzony.

— Co się stało? — zapytał profesor Strafford — co to za zbiegowisko?...

— Morderstwo?!.. zbrodnia!..

Profesor wytrzeszczył oczy.

— Gdzie? tutaj na ulicy?...

— Nie... tam w domu... w ogrodzie...

— Jakto? zamordowano ogrodnika?

— Nie!.. nie ogrodnika, ale tego pana, co odnajmował willę...

— Tego bogacza, co to przyjechał niedawno z Indyi...

— Macmorrisa?!

— Tak właśnie się nazywał!..

— Roberta Macmorrisa...

— Zamordowano go!..

Bolesny, przeraźliwy krzyk wstrząsnął powietrzem. Wszyscy obrócili głowy...

Trupio blada Alicja Belmonte usunęła się zemdłona w ramiona profesora Strafforda.

— Ach! to Belmonte...

— Biedaczka!.. kochała go!..

— Tak!.. tak!.. przecież przez niego dała kosza Mortonowi...

W czasie gdy hrabina i profesor transportowali zemdloną artystkę do pobliskiej apteki — uwaga tłumu zwróciła się znowu w innym kierunku.

Przybyła komisja sądowa. Ale ciekawych, którzy chcieli wcisnąć się do wnętrza, spotkało rozczarowanie. Albowiem sędzia śledczy Ridder kazał zamknąć furtę ogrodową.

Następnie zapytał oczekującego na u wejścia do ogrodu policyanta:

— To pan stwierdził morderstwo i dał znać policyi?

— Tak jest, panie sędzio.

— Jak to było? proszę mi opowiedzieć krótko.

— Wedle rozkazu panie sędzio. Patrolowałem tutaj na ulicy od drugiej godziny w nocy... Uderzyło mnie zaraz jaskrawe światło lampy willi w ogrodzie...

— I wkroczył pan?

— Z początku nie uważałem się za uprawnionego do tego. Przypuszczałem bowiem, że pan Macmorris...

— Więc wiedział pan kto tutaj mieszka?

— Oczywiście — przypuszczałem, że ten pan późno w nocy pracuje...

— Cóż dalej?

— W godzinę później zerwał się gwałtowny wiatr... Dojrzałem, że płomień lampy naftowej, która paliła się jeszcze ciągle, gwałtownie migocze... Widocznie wiatr otworzył niedomknięte okno...

— Nikt okna nie zamknął i lampy nie przykrył?...

— Nie! to też widząc, że zachodzi obawa pożaru, obudziłem ogrodnika, który zaprowadził mnie do willi... I tutaj zastałem...

— Co?

— To, co pan sędzia widzi...

Policyant przekręcił klucz w zamku:

— Wszystko zostało jak było. Niczego nie ruszałem. Nawet lampa pali się jeszcze...

— Proszę ją zgasić. Już jest prawie jasno na dworze.

Policyant skrzył lampę, sędzia dopiero wówczas rozejrzał się po mieszkaniu.

Na wikwintnej, czerwonym pluszem krytej sofie znajdowały się zwłoki Macmorrisa nawpół siedzącej postawie. Głowa przechylona na poręcz. Prawa ręka wpila się kurczowo w miękką materię pokrycia, lewa wpadła na zbroczony krwią gors koszuli.

W pokoju znajdował się również, zawieszony uprzednio dr. Larnings.

— Czy śmierć stwierdzona, doktorze? — zapytał sędzia.

(Ciąg dalszy nastąpi).